

- Dzień dobry panie prezesie!
- Dzień dobry, dzień dobry. Niech pan pamięta, że dzisiaj spotykamy się w konferencyjnej o trzynastej. Obecność obowiązkowa!
- Oczywiście. Będę pamiętał. Cieszę się bardzo panie prezesie. Ale pan ładnie dzisiaj wygląda.
- Tak, tak. Dziękuję. Niech pan dzisiaj nie zapomni pościągać za faktury. Musimy jeszcze przed Wigilią wyczyścić rok.
- Już od tygodnia to robię i na pewno pościgamy w terminie, kochany panie prezesie.
- A... I jeszcze proszę mi przynieść raport sprzedaży Cipielskiego za ostatnie pół roku.
- On nie pracuje u nas pół roku tylko od trzech miesięcy, pozwolę sobie zauważyć kochany panie prezesie.
- Dobrze, dobrze. Długie te trzy miesiące są... I formularz wypowiedzenia też niech pan przyniesie. A Koniecpolski to długo u nas pracuje?
- Będzie z kilkanaście lat, kochany panie prezesie.
- Dobrze, dobrze... A jeszcze proszę wziąć od księgowej raport planu sprzedaży i też mi podrzucić. Nie wie pan przypadkiem, jakie wyniki?
- Wyniki w normie. Oczywiście panie prezesie kochany, przyniosę.
- Cieszę się, że w normie. Mamy takich sumiennych pracowników. A pan to długo u nas pracuje?
- Piętnaście lat panie prezesie kochany. – Odpowiedziałem słodko.
- A zapomniałbym. Niech mi pan przyniesie więcej tych formularzy wypowiedzenia.
- Oczywiście prezesie kochany. Zaraz lecę! – Dreszcz mnie przeszył lodowaty.
- Jeszcze jedno. Proszę zamówić catering na dziesiątą z hotelu Marriott.
- Już się robi. Ale nasz kochany prezes to ma niezły gest. – Zauważyłem grzecznie, ciesząc się na myśl wyżerki z Mariotta.
- Tylko niech się nie spóźniają, bo ważną delegację przyjmuję punktualnie o dziesiątej trzydzieści. Zapomniałem jeszcze... Proszę zamówić drugi catering z hotelu Gromada dla naszych pracowników na trzynastą.

Prezesunio pobiegł do siebie. Ja znowu musiałem zabrać się do roboty.

A już byłem taki ucieszony, że w Wigilię będą luzy.

A tu dupa.

Zbliżała się trzynasta.

Prezes spuścił po schodach, z grymasem zniechęcenia, siedzącą u niego już zbyt długo, delegację. Sam zaś puścił się do konferencyjnej zabrać za oratorstwo.

- Chciałem wszystkim wam złożyć serdeczne życzenia Bożonarodzeniowe. Aby firma rosła w siłę a ludziom się żyło dostatniej. Cieszę się, że mam tak oddanych pracowników.

Firma zawsze doceniała wasze wysiłki. I również tym razem o was też nie zapomni. Koperty do odbioru u księgowej za pokwitowaniem.

Po chwili dodał:

- Nie zapomnijcie tylko składać wraz z podpisem, formularzy deklarowanej sprzedaży na rok następny.

- To może teraz zaśpiewamy kolędę? – Zapytał prezesunio a właściwie to stwierdził. Przy wtórze gawie-

dzi zaczął zawodzić ochryplym, przepitym głosem: „Lulajże”. Połowa śpiewała. Reszta otwierała usta i oczy z uwielbieniem wpatrując się w swego ukochanego zwierzchnika.

Potem nastąpiły życzenia. Zrobiła się kolejka do uścisku dłoni kochanego prezesa. Szef stał z opłatkiem w ręce. Każdemu podchodzącemu odłupywał po kawałku i wręczał wafelek, robiąc uniki przed pocałunkami wielbiących go fakturzystek i magazynierek.

Jedynie nie udało mu się zrobić uniku przed swoją długonogą sekretarką.

Stałem za Kowalskim w kolejce do uścisku prezesa i słyszę:

- Wszystkiego najlepszego. Zdrowka i satysfakcji. Pozdrowienia dla córki. Taka śliczna wyrosła. W tatu-sia się chyba wdała. I oczywiście życzenia dla uroczej małżonki. Udała się panu żona. Taka sympatyczna. Stojąca obok sekretarka, spojrzała na szefa gdy usłyszała słowo „żona” i skrzywiła się ukradkiem jakby jadła cytrynę. Następnie podszedł z życzeniami, przygarbiony już wiekiem Koniecpolski:

- Panie prezesie kochaniuteńki. Zdrowka życzę dla całej rodzinke i pomyślności w życiu z zawodowym...

- No dziękuję, wzajemnie – odparł – Z tym życiem zawodowym to największy kłopot. Człowiek nie zna ani dnia, ani godziny, co mu rynek przyniesie.

Podśledzuję ukradkiem i tak myślę sobie: - Co wy z tą rodziną fałszywe pajace? Przecież nawet nikogo z niej, nigdy w tej firmie nie było. Nigdy na oczy nie widzieliście jego małżonki ani córki. Właśnie, a może on pedał jest?

Spojrzałem na sekretarkę. Eeee... Nie. Chyba, że się drań maskuje.

Podszedłem odklepać swoją formułkę:

- Serdeczne życzenia dla pana i rodzinke, kochany panie prezesie. Proszę pozdrowić małżonkę i córkę.

Gdyby sekretarka oczami mogła rzucać gromy, pewnie leżałbym już jak trup rażony piorunem.

Pobiegłem do swojego pokoju przygotować odpowiednie raporty. Przechodząc obok drzwi prezesa mało się nie przewróciłem. Było bardzo ślisko. Cała podłoga była upaprana. Pochylony, aby zobaczyć, co to, sięgnąłem palcem do kafelków w odruchu organoleptycznego badania. Patrzę... I widzę na paznokciu grubą warstwę wazeliny.

Jako, że już od dawna raporty miałem spreparowane, nie musiałem trudzić się z nędzną analizą sprzedaży. Och jak niemiłosiernie wkurza mnie ten Cipielski.

Zresztą nawet gdyby była dobra, to w raporcie wcale taka być nie musiała.

Prawda? Też jestem człowiekiem i mogłem zrobić pomyłkę odczytując szóstkę zamiast dziewiątki.

Mogłem?

Mogłem!

Zaszedłem ponownie do konferencyjnej, gdzie trwała konsumpcyjna część spotkania. Kryśka nigdy by mi nie darowała, jeśli nie przyniosłbym do domu sałatki, ciasta, pomarańcz i wędliny.

Wpadam do sali a we mnie wściekłość wpada. Sałatki wcale już nie było. Cipielski beczelnie paradował z talerzykiem zapchany jak wieża Eiffla. Nawet kelner ekwilibrysta z tacą w Mariocie byłby marnym cyrkowcem w porównaniu z nim.

Zły do granic niemożebności pogalopowałem do swojego pokoju i wyciągnąłem raporty. Przerobiłem w komputerze szóstkę na zero i wydrukowałem jeszcze raz.

A nich ci w gardle stanie ta sałatka. - Szepnąłem z zadowoleniem.

Wracając do konferencyjnej zaszedłem do łazienki umyć ręce, jako że upaprałem je tonerem. Spoglądam pod umywalkę, a tam cała torba pomarańcz. Ściągnąłem z szafki papierową torbę na stare podpaski. Upchnąłem do niej tyle, ile się dało. Wróciłem do pokoju, by zamknąć owoce profilaktycznie na klucz, razem z segregatorami.

Zaszedłem do imprezowiczów. Wszyscy wyglądali jak chomiki. Ruszali szczękami na podobieństwo

krów, którym wepchnięto w mordy kilogramowe gummy do żucia. Tace opustoszały już w połowie a po pomarańczach nie było śladu.

Prezes zarządził otwarcie szampana. Na ten punkt kulminacyjny wszyscy czekali najbardziej. Rzucili się, do co bardziej napełnionych kieliszków.

- Za sukcesy w firmie! – Zagadnął prezes i wzniosł toast.

Pracownicy udając, że nikomu nie śpieszno do chlańska, sączyli pooooooooo trunek.

Nagle celebrację przerwał dzwonek komórki. Dreszcz konsternacji przeszedł po zebranych. Wszyscy z niepokojem patrzyli jeden na drugiego. Każdy bał się wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Telefon dzwonił nadal, domagając się rozmówcy.

Nastąpiła cisza jak przed egzekucją. Zmrożone miny gości mówiły same za siebie.

- Kto śmiał przerwać tak doniosłą uroczystość? – Zawisło w powietrzu pytanie, którego nikt na głos nie zadał.

- Przepraszam, ale mam telefon. – Szef sięgnął do kieszeni.

Grymas ulgi potwierdzony lekkim szmerem, przeszedł po twarzach zebranych.

- Przepraszam państwa na chwilę, ale mam pilną rozmowę.

I wyszedł.

Towarzystwo rzuciło się do kieliszków. Ukradkiem, niby od niechcenia, uzupełniane po każdym łyku szkło zawsze było pełne, aż po brzegi. A najedzone i opite bębny siadały potem po kątach, wchłaniając okruszki z ciasta.

Minęło pół godziny, ale prezes już nie zawitał powtórnie.

Co roku, o tej samej porze, dzwoni do niego telefon.

I szef, jak co roku, nie wraca do swych kochanych pracowników na Wigilię.

Pojawienie zwierzchnika następuje po Nowym Roku.

Tak jak on, nie pojawiają się też niektórzy pracownicy. Ale ci, po Nowym Roku znikają bezpowrotnie.

P R E Z E N T

Zmęczony psychicznie dzisiejszą imprezą, korzystając z okazji wcześniejszego wyjścia, postanowiłem sobie ulżyć i nie jechać prosto do domu. Też, coś mi się od życia należy z Wigilijnej okazji.

Zadzwoń do żony:

- Kochanie, będę dzisiaj trochę później, bo prezes zarządził Wigilię i muszę zostać. Jeśli chcę otrzymać premię, nie mogę mu odmówić.

Zadzwoń później do Pameli:

- Cześć słodka!

- Ach, witaj kochanie. Ty pewnie zapracowany dzisiaj przed świętami?

- Ależ dla ciebie zawsze znajdę czas. Moja myszka musi zobaczyć swojego kotusia przed świętami.

- Dzisiaj znajdziesz? – Zapytała uradowana.
- A co porabiasz?
- Czekam na ciebie. – Odparła kokieteryjnie i już wiedziałem, że na pewno nie pojedę prosto do domu.

Była tak słodka i piękna, że na sam dźwięk jej głosu poczułem ciepło spływające do mojego krocza. Jajka w impulsie skurczu moszny, jak w wielkanocnym toaście zderzyły się ze sobą,

Pamelka fajna jest. Wolę ją i więcej do burdelu nie pójde. Wychodzi taniej, bezpieczniej i przyjemniej. Szczególnie przyjemniej. Ostatnim razem będąc w pewnym bałaganie, taka jedna suka wrednie mi przygadała. Miałem chęć ją w gębę strzelić. Powstrzymało mnie jedynie zagrożenie kontaktu trzeciego stopnia z jej alfem. Mógł mnie bysio za konsekwencje pociągnąć.

Wszedłem i powiedziałem alfonsowi, że chcę dupę. Najlepiej taką, która będzie mieć ciasną cipkę i duże cyciki. I wyszła taka larwa jedna. Pinda stanęła na środku i zaczęła głośno krzyczeć:

- Który to przyszedł z małym kutasem i wielkimi łapami?
- Eh... - westchnąłem - suki wredne. Klienta nie potrafią uszanować.

Obladowany siatami z żarciem, jak przekupa z bazaru, wychodzę chyłkiem z biura. By nie pchać się w oczy współpracownikom i głównie prezesowi, lizę pod ścianą biurowca. Potem na skróty, skok między drzewa i przez park, do najbliższego przystanku.

Zniknąłem już z zasięgu widoku z okien. Wszedłem do parku.

I...Spostrzegam, że między drzewami stoi niespodzianka. O drzewo opiera się jakiś murzyn i zwraca naszą tradycyjną Wigilię. Antychryst jeden. W sąsiedniej firmie handlującej bananami, też była chyba impreza. I jak widać, zakrapiana na ostro.

Biedaczysko, nieprzyzwyczajony widać do tego klimatu. Chwieje się, stojąc ledwo na nogach. Gdyby nie to drzewo, zapewne chłapnąłby na pysk zapoznając się z własnym deserkiem.

- I co ty tu robisz człowieku? – Zapytałem złośliwie.
- Zzzzz...Wracam do dddomu...
- Do domu powiadasz? A stoisz pod tym pniakiem.
- Aaaa...
- To może cię podsadzę?
- Na drzewo?
- Nie filozuj tylko się zbieraj. Tam masz przystanek.

Szkoda było go nie wykorzystać. Jeśli taki zapluty antychryst wsiądzie do autobusu, to wszystkie kwoki będą go omijać z daleka i luzy się robią w tym tłoku. Zresztą, jeśli go zostawię na pastwę losu, to oskubią chłopaka z zegarka i sygnetu.

Czarny, bo czarny, ale też chrześcijanin. A w Wigilię wypadałoby człowiekowi pomóc. Jakiś dobry uczynek w tym dniu tradycji zadośćuczyni.

Czarni w sutannach też chleją każdą niedzielę na mszy i nikt ich za to nie gani. Wziąłem bambusa pod rękę i zaprowadziłem na przystanek.

P O W R O T

Pcham ciało do nabitego autobusu używając murzyna, jako taran.

Czarny wślizgnął się jak małpa i tyle go widziałem, bo zintegrował się z podłogą.

Wszyscy biali za to, wyglądają w autobusie jak przed emigracją, kataklizmem czy podwyżką. Tak ob-

ładowani pakami, muszą na złość jechać tym samym autobusem? - Głupawo skonkludowałem sam przed sobą, rozglądając się na moim czarnym przyjaciele.

Wsiąkł. Chwała mu za to i kit w ucho. Nie muszę go niańczyć. Samemu mi rąk brakuje.

Jedną rękę trzymam na pakunkach, drugą na aktówce, trzecią się rozpycham a czwarta kontroluje portfel w kieszeni przed ingerencją potencjalnego amatora kwaśnych jabłek. Jak wiadomo przed świętami takie skwaszone jabłka najlepiej idą.

Dostrzegłem staruszkę, która właśnie opuszczała swoją twierdzę, zapewne przebojowo zdobytą na poprzednim przystanku.

Rzucam więc moje paki z prezentami na zwalniające się miejsce. Widzę na sobie zawistne i wściekle spojrzenia jakiejś baby, otłuszczonej zbytnim dobrobytem. Zajmuję swoje siedzenie, tak pożądane przez otoczenie i rozglądam się za kasownikiem.

- Jest!

Ale za daleko by wyciągnąć do niego rękę. Pozostawienie dobytku grozi jego utratą lub zniszczeniem, a w najgorszym przypadku okupacją siedzenia przez tyłek jakiejś zdesperowanej pseudo-staruszki.

W połowie drogi do kasownika stoi facet. Ale ręce ma zajęte kwiatami.

Pięknymi kwiatami!

Zaraz, zaraz. Ale po co mu takie piękne kwiaty?

Ten autobus jedzie już tylko prosto na pętlę. Tam dalej już nic nie jeździ. To ostatni przystanek.

Cmentarza tam nie ma.

Ślub też nie możliwy. Kościół zamknięty o tej porze.

Ponadto wiedziałbym wcześniej, że na osiedlu klaruje się jakaś impreza.

Na prezent imieninowy te kwiaty są zbyt piękne.

- To musi być kobita! – Wykrzyknąłem w duchu.

Bliska kobieta. Nawet bardzo bliska kobieta.

Ale to chyba jeszcze mało, bo byle dupie przecież nie wiózłby takiej wiąchy.

To musi być niezła i śliczna laska. Dla kaszalota tak by się nie wykosztował. A nawet Wigilia, to też nie jest okazja na tak cudowne kwiatki dla rodziny.

Tyle, że w mojej okolicy znam wszystkie panienki. A tam przecież mieszkają same kaszaloty.

No, może nie same. Jest Pamela i moja żona oczywiście...

Niemożliwe, by jechał teraz do Pameli?!

Wydedukowałem!

Skurczybyk, w takim razie może jechać do mojej żony!

Trochę mnie to wnerwiło. Ale słowo się rzekło i kobyłka u płotu. Zona zawiadomiona, że będę późno. Muszę być zaraz u Pamelki.

Trudno, żona poczeka... Mój awaryjny cukiereczek czekać nie może.

Zresztą ta niewdzięczna połowica i tak mnie zdradza. Zawsze to robi, gdy jestem w delegacji w Chorzowie u Karoliny. Jednak przynajmniej mogłaby robić to dyskretniej. A, kit jej w ucho.

Ale ostatnim razem, gdy byłem w Chorzowie w delegacji trochę przegięła. Jeszcze z tym szczyłem ze studiów się spotyka. Cholera, jak można nazywać się Wirgiliusz?

Jak ona w takim razie do niego mówi? Warek? Wirguś? Gilek?

Mało jej było Janusza? Znudził się, czy co?

Janusz, takie imię przynajmniej po polsku brzmi. A nawet, jako Kapitan Marynarki był całkiem przystojny.

Zaraz, zaraz.. Wczoraj znalazłem w koszu na śmieci widokówkę z Karaibów podpisaną:

„ :-) J. „

Taaak... Pewnie się teraz wygrzewa z jakąś autochtonką.

- Panie Gilku, mogę prosić o skasowanie biletu?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

, dodano 31.12.2018 13:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.